



## Wizyta i nieporozumienie

W połowie kolejnego tygodnia, tuż po lekcjach, Harry udał się w daleką podróż. Wykorzystując motocykl Syriusza, poleciał do hrabstwa Dorset, w południowo-zachodniej części kraju. Zamierzał odwiedzić Lunę i jej męża, którzy osiedlili się w mieście Wimbourne. Ponieważ nigdy nie był w tych stronach, trochę mu zajęło zanim dotarł na właściwą ulicę. Na szczęście okoliczni mugole okazali się bardzo przyjaźni i pomocni. Natychmiast wskazali mu drogę.

Kiedy dotarł na ulicę Millbourn, jego oczom ukazały się rzędy domów z czerwonej cegły, które ciągnęły się po obu stronach drogi. Wszystkie wyglądały niemal identycznie: skośne dachy, śnieżnobiałe okna, idealnie przycięte trawniki przed domami. I tutaj niby ma mieszkać Luna?, zwątpił w duchu. Ta dzielnica kompletnie do niej nie pasowała. Była zbyt schludna i... zwyczajna, bardziej zwyczajna niż Privet Drive.

Szukając posesji z numerem siedem, Harry przeszedł się do końca ulicy. Dopiero wówczas spostrzegł, że jeden z domów kompletnie nie pasuje do reszty. Stał po prawej stronie drogi, górując nad pozostałymi. Był również zbudowany z czerwonej cegły, ale została ona pomalowana na różowo. Okna domu mia-

ły przedziwne kształty, a trawnik porastały chwasty i niepokojące, poruszające się krzaki. Zza chaszczy wyglądało nieśmiało kilka gnomów, z zaciekawieniem przyglądając się Harry'emu. Do kamiennych, wejściowych schodów prowadziła kręta ścieżka wysypana żwirem.

— Jesteś wreszcie, Harry! — ucieszyła się Luna, kiedy powitała przyjaciela w progach swojego domu.

Chwilę później oboje usiedli w salonie, popijając herbatę. Lorcian i Lysander po przywitaniu wujka zajęli się układaniem lewitujących klocków na dywanie.

— Ładnie tutaj — przyznał szczerze Harry, rozglądając się po pokoju. — W tym domu mieszkał Newton Skamander, prawda?

— Tak, ze swoją żoną Tiną i trzema kugucharami — potwierdziła wesoło Luna. — Dziadek zapisał wszystko Rolfowi. Wprowadziliśmy się tutaj rok po jego śmierci. W zasadzie niewiele tutaj zmieniliśmy od tego czasu.

— A mugolskie sąsiedztwo wam nie doskwiera? — spytał Harry, przypominając sobie swoją dawną mugolską sąsiadkę, Honoratę Whinfield, która często dawała się mu we znaki. — Wasz dom rzuca się trochę w oczy.

Luna zachichotała.

— O tak. Początki były trudne — zaśmiała się. — Zwłaszcza jak przemalowaliśmy dom na różowo. Ale z czasem Rolf nałożył różne zaklęcia maskujące... wiesz... nasi sąsiedzi za często widywali gnomy ogrodowe, szczuroszczepy czy demimozy. Te urwisy często wymykają się z piwnicy. Raz nawet nawiał nam ognisty krab. Podpalił żywopłot Bercie Boobs. Mało brakowało, a spłonęłoby pół działnicy.

I roześmiała się na wspomnienie pożaru. Harry czuł się nieco zmieszany. Pamiętał doskonale jak Ministerstwo Magii dowiedziało się o tym zdarzeniu. Ile wtedy szumu wokół tego było. Sam osobiście musiał wysłać tuzin amnezjatorów, żeby posprzą-

tali ten cały bałagan. Ledwie udało mu się wtedy wybronić Rolfa przed Azkabanem. Nie chcąc jednak urazić Luny, sztucznie zachichotał i pospiesznie dopił resztkę herbaty.

Po krótkiej rozmowie na temat pogrzebu Rona i tego, jak radzi sobie Hermiona, Harry zszedł do piwnicy domu Skamanderów. Miał sprawę do Rolfa, a Luna wyjaśniła mu, że magizoolog właśnie karmi zwierzęta w swojej pracowni.

Kiedy Harry zszedł po starych, skrzypiących schodach i stanął na kamiennej posadzce, oniemiał z wrażenia. Zamiast ponurej, ciasnej i zagraconej piwnicy ujrzał rozległą polanę nad brzegiem jeziora. Pośrodku stała niewielka, drewniana chata, a po obu jej stronach ciągnęły się rzędy rozmaitych wybiegów, poprzedzielanych magicznymi barierami. Wszystkie były pełne fantastycznych zwierząt. Każdy wybieg imitował naturalne warunki, w jakich żyją na wolności dane gatunki. Harry ze zdumieniem dostrzegł m.in. piaszczystą równinę, bambusowy las, czy rozległą śnieżną krainę.

— Och, witaj, Harry! — zawołał Rolf wychylając się na chwilę z głębi chatki. — Podejdź bliżej. Właśnie przygotowuję syrop na kaszel dla hipokamusa!

Zmierzając w stronę chatki, Harry mijał kolejne wybiegi, rozglądając się z ekscytacją na wszystkie strony. Ze zdumieniem rozpoznał stado garborogów, które na jego widok oddaliło się pospiesznie. Na niewielkim drzewie w bambusowym lesie wypatrzył z tuzin nieśmiałków, które przyglądały mu się zza liści. Kiedy minął wybieg hipogryfów, przebiegły koło niego dwa sporej wielkości jeże. Uciekały przed agresywnym żądlibakiem, który próbował je atakować.

— Jeszcze nigdy nie widziałem tylu magicznych zwierząt w jednym miejscu — stwierdził z podziwem, kiedy stanął w drzwiach chaty i podał Rolfowi rękę na powitanie. — Świetnie urządziłeś to miejsce.

— Zależało mi, żeby zwierzaki czuły się jak w domu — odrzekł Rolf, nie przestając mieszać eliksiru, który przygotowywał w niewielkim cynowym kociołku. — Większość rozwiązań wymyślił jednak mój dziadek.

Harry wszedł do chaty i zaczął rozglądać się po niej z zaciekawieniem. Pod ścianami rosły regały pełne rozmaitych ingredientcji, pasz dla zwierząt czy też pustych klatek. Pod oknem stała komoda z szufladami. Spoczywała na niej bardzo stara, zniszczona walizka z brązowej skóry. Podeszedł bliżej, żeby lepiej się jej przyjrzeć. Zauważył, że klamry walizki są otwarte.

— Przygotowałem ci dwa ogniste kraby, tak jak prosiłeś — powiedział wesoło Rolf. — Zabezpieczyłem je na czas podróży w specjalnych transporterach. Nie powinny sprawić ci problemu.

Harry już miał podziękować, ale nagle wieko walizki uniosło się w górę. Z wnętrza wystrzelił w powietrze chudy, ponury ptak, przypominający nieco wygłodniałego sępa. Zrobił to tak nagle, że Harry aż podskoczył. Ptak zatoczył koło nad ich głowami, wydając przy tym z siebie niskie, drażniące dźwięki i trzepocząc skrzydłami, wyleciał na magiczną polanę.

— Zapowiada się na deszcz — stwierdził z przekonaniem Rolf, zerkając za szpetnym ptaszyskiem. — A właściwie to do czego potrzebujesz Zyty i Zybcia? — Harry wybałuszył oczy, nie wiedząc, o kim mówi Rolf.

— To te dwa ogniste kraby. Nadałem im takie imiona — wyjaśnił pospiesznie Skamander.

Harry wyszczerzył zęby.

— Chcę nauczyć dzieciaki Aguamenti. Pomyślałem, że jak kraby się wkurzą i podpalą klasę, szybko zmobilizują uczniów do opanowania tego zaklęcia.

— Przynajmniej tych, którzy nie wylądują w skrzydle szpitalnym — zaśmiał się Rolf.

Wyjął z kieszeni menzurkę i nabrał do niej brunatnego eliksiru

z kociołka. Wraz z Harrym wyszedł z chaty i skierował się na skraj wyczarowanego w piwnicy jeziora. Zagwizdał dwukrotnie. Nagle z głębin wynurzył się duży, purpurowy koń. Harry ze zdumieniem stwierdził, że zamiast końskiego zadu miał długi rybi ogon.

— To hipokampus — wyjaśnił Rolf podchodząc do zwierzaka i poklepując go po grzbiecie. — Ma ostatnio kaszel. Uwarzyłem coś, co powinno mu pomóc.

Kiedy Rolf podawał hipokampusowi eliksir z menzurki, Harry przyglądał się temu z zafascynowaniem. Nagle podszedł do nich jakiś dziwny, kudłaty stwór. Harry zerkał w jego stronę z lekkim niepokojem. Miał wielką, zmierzwioną czuprynę i wyjątkowo długi nos. Stał na dwóch nogach, a jego krótkie ramiona zakończone były dłońmi o czterech grubych palcach. Dziwne stworzenie w napięciu wpatrywało się w hipokampusa, żując przy tym trawę.

— Cześć — przywitał się nieśmiało Harry. Stwór obdarzył go krótkim, obojętnym spojrzeniem. Nie przestawał żuć trawy, która wystawała mu z pyska.

— On nie potrafi mówić — stwierdził Rolf, zerkając na zwierzę z lekkim poirytowaniem. — Bombo, nie jesteś tu potrzebny — zwrócił się do niego stanowczo. — Hipokampus nie potrzebuje strażnika. Idź popilnować abraksanów!

Dziwny stwór przez chwilę stał nieruchomo, wciąż przeżuwiąc trawę. Harry pomyślał, że być może jego niewielki mózdzek jeszcze przetwarza polecenie, które otrzymał.

— To kudłoń — wyjaśnił Rolf, kiedy zwierzę niechętnie wróciło do stada abraksanów. — Ma we krwi pilnowanie koni. Nawet tych, które żyją pod wodą.

Kiedy hipokampus wypił całą zawartość menzurki, zarżał z wdzięcznością i ponownie zanurzył się w toń jeziora. Rolf zaprowadził Harry'ego do klatek z niuchaczami, a sam zajął się

karmieniem gumochłonów.

— Kilka dni temu Departament Kontroli Nad Magicznymi Stworzeniami poprosił mnie o pilną konsultację — oznajmił z powagą. — Okazało się, że Wydział Zwierząt znalazł magazyn pełen dzikich stworzeń. I to niezłego kalibru. Buchorożec, chimera, kwintopedy, nundu. Była nawet mantykora.

— Przecież to same najgroźniejsze gatunki! — przeraził się Harry, głaszcząc czule niuchacza, który próbował zdjąć obrączkę z jego palca. — Hodowanie tych zwierząt i handlowanie nimi jest zakazane.

Rolf westchnął ciężko.

— Ryan z Wydziału Zwierząt poprosił mnie o pomoc przy klasyfikacji niektórych osobników — kontynuował z przejęciem. — Niestety, kilku zwierząt ja sam nigdy na oczy nie widziałem. To były jakieś dziwne krzyżówki. Tak jak ze smokami. Ktoś celowo łączył najgroźniejsze gatunki.

Harry pobladł. Był przekonany, że to robota Bractwa Czarnej Gwiazdy. Widać krzyżowanie smoków im nie wystarczyło.

— Czy Ministerstwo wie, kto prowadził ten nielegalny magazyn? — spytał po chwili.

Rolf wrzucił resztki sałaty do legowiska gumochłonów. Pogłaskał po głowie demimoza, który podszedł, żeby się do niego przytulić.

— Ryan wygadał się, że dorwali jakiegoś typka — oznajmił, podchodząc do Harry'ego. — Wypytywali go, na czyje zlecenie działa. Nie puścił jednak pary z ust.

— Czyli niczego się nie dowiedzieli? — dopytywał z przejęciem Harry.

Rolf spochmurniał.

— Czegoś się jednak dowiedzieli. Ten facet współpracował podobno z Mundugusem Fletcherem — odrzekł z powagą. — Co gorsza, twierdził, że Mundugus handlował tymi niebezpiecz-

nymi zwierzakami z kimś z Hogsmeade.

Harry poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła. Czy to możliwe, żeby jakiś osioł z Hogsmeade narażał bezpieczeństwo mieszkańców i sprowadzał w te okolice zakazane gatunki zwierząt? A co jeśli jakiś osobnik ucieknie z niewoli? Przecież dom Harry'ego stoi w Hogsmeade!

— Trzeba odszukać Fletchera. Ten dureń szybko wszystko wyśpiewa — oznajmił roztrzęsionym głosem Harry, a Rolf westchnął ciężko.

— Problem w tym Harry, że Mundungus przepadł bez wieści — powiedział sucho. — Nikt nie widział go od kilku tygodni. Aurorzy obawiają się, że nawiał z kraju.

Nagle Harry coś sobie przypomniał. Serce zaczęło mu łomotać jak oszalałe.

— Widziałem Fletchera w Dziurawym Kotle pod koniec sierpnia — wyznał z ekscytacją. — Byłem wtedy na zakupach z córką mojego kuzyna. Ten gnojek zamawiał piwo dla siebie i jakiegoś typka. Takiego elegancika...

I nagle zamarł. Przypomniał sobie bowiem jeden szczegół, na który wcześniej nie zwrócił większej uwagi. W natłoku spraw jakos mu to umknęło i nigdy dotąd tego nie skojarzył.

— Ten koleś miał białe rękawiczki! — zawołał zszokowany, wprawiając Rolfa w lekkie osłupienie.

— Och, to jeszcze nie zbrodnia, prawda? — odrzekł głupkowato magizoolog.

Nic nie rozumiał. Harry jednak nie silił się na żadne wyjaśnienia. Było już dość późno. Musiał się zbierać. Chciał jak najszybciej pogadać o tym wszystkim z Hermioną. Podziękował Skamanderom za gościnę i wyszedł przed dom. Wyjął z kieszeni płaszcz pomniejszony motocykl i jednym machnięciem różdżki przywrócił mu naturalne rozmiary. Zapakował transportery z ognistymi krabami do wózka bocznego motocykla. Pospiesznie

pożegnał się z Luną i jej mężem i chwilę później szybował już pośród szarych chmur. Zgodnie z przewidywaniami Rolfa, z nieba niemal natychmiast zaczęły siąpić lodowate krople deszczu. Gdy przelatował nad Rocktown, rozpadało się na dobre. Deszcz towarzyszył mu przez niemal całą drogę.

— Co to za paskudztwa?! — fuknął wściekle Filch, kiedy przemoknięty Harry wkroczył do sali wejściowej zamku, a transportery z magicznymi zwierzakami lewitowały tuż za nim. — Po coś sprowadził tutaj te potwory, Potter?!

Harry obdarzył woźnego lekceważącym spojrzeniem.

— Zanieś ogniste kraby do mojego gabinetu, Filch — polecił stanowczym tonem, osuszając różdżką swoje szaty. — Później się nimi zajmę.

Woźny nie był zachwycony tym zadaniem. Z oporem ruszył na górne piętra zamku, przeklinając Harry'ego pod nosem. Oba transportery lewitowały tuż za jego plecami. Za nimi z uniesioną głową maszerowała dumnie Pani Norris, kotka Filcha.

Harry tymczasem zajrzał przez uchylone wrota do Wielkiej Sali, którą wypełniał wesóły gwar rozmów. Trwała właśnie wieczorna uczta. Przy czterech długich stołach siedziały setki uczniów. Jedni pochłaniali smakołyki przygotowane przez skrzaty domowe, inni żywo dyskutowali między sobą. Harry spojrzął w kierunku stołu nauczycielskiego. Zauważył Lisę pogrążoną w rozmowie z Sheridanem Czarneckim. Poczul dziwne ukłucie w sercu. Tak blisko siebie siedzieli! Przy stole zauważył też dyrektora, który dyskutował o czymś z Erwinem Hornetem i Horacym Slughornem. Neville przysłuchiwał się im z lekkim znudzeniem. Nigdzie nie było jednak widać Hermiony. Widocznie znowu zamknęła się w swoim gabinecie, żeby przygotowywać tematy zajęć. Harry ruszył więc pospiesznie na siódme piętro. W biegu pokonał setki schodów i po chwili zdyszany wpadł do gabinetu przyjaciółki.

— To faktycznie niepokojące — przyznała Hermiona, kiedy kwadrans później skończył opowiadać jej o wszystkim, czego dowiedział się od Rolfa. — Nie rozumiem jednak, czemu aż tak bardzo się tym ekscytujesz? Fletcher zawsze prowadził jakieś szemrane interesy.

Harry nabrał głośno powietrza do płuc. Poczul lekkie poirytowanie.

— Facet, z którym widziałem Mundugusa w Dziurawym Kotle, miał białe rękawiczki — zauważył ze zniecierpliwieniem. — Tak samo jak typek, który prawdopodobnie zamordował dokarmiacza Smoka Wawelskiego.

Na twarzy Hermiony pojawiło się zdumienie.

— Czyli nasz drogi Fletcher wmieszał się w jakieś podejrzone interesy z członkami Bractwa i chwilę potem przepadł bez wieści — stwierdziła sucho. — To już pewnie tylko kwestia czasu, zanim aurorzy znajdą jego wysuszone ciało.

Zamilkła i pobladła nieco. Harry dostrzegł w kącikach jej oczu łzy. Domyślił się, że właśnie ponownie pomyślała o Ronie. O tym, że jego ciało też wysuszono.

— Najgorsze jest to, że ktoś z Hogsmeade handlował niebezpiecznymi zwierzakami z Fletcherem — wyznał z niepokojem Harry, chcąc szybko oderwać Hermionę od ponurych wspomnień. — Nie wiadomo, jakie paskudztwa posiada w swojej kolekcji. Być może trzyma te stworzenia gdzieś w wiosce. A co, jeśli jakiś drapieżnik ucieknie?

— Myślę, że Ministerstwo przeszuka dom po domu — odpowiedziała z przekonaniem Hermiona.

Nagle zza drzwi gabinetu dało się słyszeć donośne, niepokojące wrzaski. Przypominały intensywne i nieprzerwane wycie psów. Harry natychmiast rozpoznał efekt działania jednego z zaklęć, które rzucił na gablotę w Izbie Pamięci. Poczul nieprzyjemny skurcz w żołądku. Czyżby ktoś próbował zwędzić

pierścień Gryffindora?! Zerwał się na równe nogi i bez słowa wybiegł z gabinetu. Zaskoczona Hermiona ruszyła za nim. Kiedy biegli, hałas odbijający się od ścian szkolnych korytarzy, stawał się co-raz głośniejszy i całkowicie zagłuszał ich kroki.

Po chwili, zziębnięci dotarli na miejsce. Harry wparował do niewielkiej komnaty zagraconej rozmaitymi pucharami, tablicami pamiątkowymi oraz innymi cennymi pamiątkami historycznymi. Jednym machnięciem różdżki zdjął hałaśliwe zaklęcie. Tuż przy gablocie z pucharem swojego ojca, spostrzegł woźnego. Argus Filch z posępnym wyrazem twarzy trzymał za szaty dwóch, wyraźnie przestraszonych, uczniów.

— Albus? James? — zdumiała się Hermiona, która weszła tuż za Harrym.

Zanim chłopcy zdołali cokolwiek odpowiedzieć, do komnaty wkroczył Sheridan Czarnecki w towarzystwie Lisy. Tuż za nimi wszedł Dorian Conelly oraz goblin Nagrod. Wszyscy mieli mocno zaniepokojone miny.

— Co tutaj się dzieje? — spytał z zaciekawieniem dyrektor, kiedy dokładnie rozejrzał się po komnacie.

Harry w napięciu spoglądał na synów. Czuł złość, która mieszała się z olbrzymim zakłopotaniem. Dostrzegł ukradkowe spojrzenie Lisy i natychmiast zalał się rumieńcem.

— Te dwa młokosy próbowały ukraść szkolne pamiątki! — oburzył się Filch, szarpiąc uczniów za szaty. — Przyłapałem ich na gorącym uczynku!

— Bądź łaskaw puścić moich synów, Filch — polecił ostrym tonem Harry, a woźny widząc ponaglące spojrzenie dyrektora, niechętnie uwolnił uczniów.

— Zechcecie nam panowie wyjaśnić, co tutaj robiliście? — spytał uprzejmym tonem Conelly, zwracając się bezpośrednio do chłopców.

Albus i James spojrzeli po sobie i spuścili wzrok.

— Z pewnością mieli jakiś ważny powód, żeby odwiedzić Izbę Pamięci — oznajmiła z przekonaniem Hermiona, a Filch prychnął z pogardą.

— Jasne. Chcieli ukraść ten puchar! — warknął wskazując na gablotę za swoimi plecami.

— Niczego nie próbowaliśmy ukraść! — zaproponował natychmiast James, a Albus żywo go poparł.

Harry poczuł ogarniającą go złość.

— Moi synowie nie są złodziejami! — warknął do Filcha.

— Więc co tutaj robiliście? — dopytał Sheridan, a oczy zebranych ponownie spoczęły na chłopcach.

James podniósł nieśmiało głowę i spojrzał na moment w kierunku ojca.

— Nie robiliśmy nic złego — zapewnił wszystkich ochrypniętym głosem. — Al marudził, że nie poradzi sobie jako nowy szukający. Stresuje się przed swoim pierwszym meczem. Chciałem dodać mu trochę otuchy. Pokazałem puchar dziadka i powiedziałem, że talent do quidditcha mamy w genach.

Harry przeklął w myślach. Powinien był przewidzieć coś takiego! Czemu nie przyszło mu do głowy, że puchar jego ojca może zainteresować chłopców? Jak mógł wpaść na tak idiotyczny pomysł, żeby właśnie w nim ukryć pierścień Gryffindora?!

Filch nadal uparcie obstawał przy swoim.

— Żaden szkolny regulamin nie zabrania uczniom oglądania szkolnych pamiątek — stwierdziła rozsądnie Lisa, stając w obronie chłopców. — Synowie Harry'ego nie zrobili nic złego.

Harry poczuł olbrzymią wdzięczność. Spojrzał jej głęboko w oczy, ale ta natychmiast odwróciła wzrok. Widocznie wciąż była na niego zła. Co gorsza, Sheridan Czarnecki żywo poparł słowa Lisy, kładąc swoją dłoń na jej ramieniu. Harry poczuł olbrzymie poirytowanie. Co za cwany, zezowaty dupek!, pomyślał. Wykorzystuje sytuację, żeby przypodobać się Lisie!

— Całe to zamieszanie było kompletnie niepotrzebne — oceniła Hermiona, odciągając Albusa i Jamesa od woźnego, który aż kipiał ze złości.

Niespodziewanie głos zabrał goblin.

— A od kiedy to szkolne pamiątki zabezpieczone są specjalnymi zaklęciami ochronnymi? — spytał podejrzliwie, a Harry poczuł ogarniającą go panikę.

— Dobre pytanie — przyznał Sheridan, a Lisa i Hermiona mu przytaknęły.

Harry'emu palił się właśnie grunt pod nogami. On jedyny wiedział, że w pucharze ukryty jest pierścień. Kilka tygodni temu dyrektor powierzył mu zadanie bezpiecznego przechowania artefaktu. Zaufał mu wówczas całkowicie. Przecież Harry nie mógł go teraz zawieść. Jak mógłby się przyznać, że w tak idiotycznym miejscu ukrył cenną szkolną pamiątkę. Dorian z pewnością byłby tym rozczarowany. To byłaby kompletna porażka.

Harry'emu momentalnie zrobiło się gorąco. Gorączkowo starał się wyszukać w głowie jakąś sensowną wymówkę. Dlaczego nagle gabloty z pamiątkami są chronione zaklęciami? Żadne racjonalne wytłumaczenie nie przychodziło mu jednak do głowy. Na szczęście ktoś przyszedł mu z pomocą.

— Nałożyłem zaklęcia na gabloty w połowie września — skłamał Dorian Conelly, a Harry obdarzył go pełnym zdumienia i wdzięczności spojrzeniem. — Nasz drogi pan Filch uskarżał się, że uczniowie wciąż wyjmują puchary i brudzą je swoimi łapskami...

— Bo to prawda! — oburzył się Filch. — Ciagle muszę je na nowo polerować!

Nagrodził dyrektora przenikliwym spojrzeniem.

— Może lepiej byłoby użyć zaklęcia samoczyszczącego — proponowała rozsądnie Hermiona.

Dorian Conelly rzucił Harry'emu krótkie spojrzenie. Musiał

dostrzec panikę w jego oczach.

— Rozważałem ten pomysł — przyznał pospiesznie. — Ale uznałem, że nie mogę odbierać ulubionego zajęcia panu Filchowi. Tak bardzo lubi przecież nadzorować uczniów, którzy za karę polerują puchary.

I puścił oko do chłopców, którzy wciąż stali po środku komnaty ze spuszczoneymi głowami.

— No to wszystko się wyjaśniło! — zawołał wesoło Sheridan.

— Powiedzmy — wymamrotał bez przekonania Nagrod.

Kiedy synowie Harry'ego zeszli do Wielkiej Sali, Hermiona zaciągnęła go do pokoju nauczycielskiego. Przez całą drogę wyglądała, jakby coś mocno ją zastanawiało. Harry domyślił się, że chce z nim pogadać na osobności.

— Mam wrażenie, że Conelly skłamał — wyznała, kiedy upewniła się, że w pokoju nauczycielskim nie ma nikogo poza nimi. — Wątpię, żeby rzucał zaklęcia ochronne z powodu marudzenia Filcha...

Harry zbaraniał. Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien powiedzieć Hermionie prawdę. Uznał jednak, że dalsze utajanie wszystkiego nie ma sensu.

— To ja rzuciłem te zaklęcia na gabloty — wyznał z zakłopotaniem. — Chciałem mieć pewność, że nikt nie zakosi pierścienia Gryffindora. Ukryłem go w pucharze mojego ojca.

Hermiona uniosła brwi.

— Uznałeś, że ten puchar będzie dobrym miejscem, na przechowanie pierścienia? — spytała z dezaprobatą, a Harry natychmiast zalał się rumieńcem. — Ten pierścień może mieć olbrzymie znaczenie w walce z Bractwem Czarnej Gwiazdy, Harry. Dopóki nie wiemy, do czego tak naprawdę służy, powinieneś ukryć go w jakimś pewniejszym miejscu. Zwłaszcza teraz, gdy na gablotę z pucharem twojego ojca zwróciło uwagę tyle osób.

Harry przyznał Hermionie rację. Uznał, że jak najszybciej powinien zabrać pierścień z Izby Pamięci. Zanim więc zszedł po Jamesa, żeby zabrać go do domu, wrócił na moment do komnaty ze szkolnymi pamiątkami. Upewnił się, że w pobliżu nie ma nikogo. Zdjął zaklęcie ochronne i pospiesznie otworzył gablotę. Wyjął puchar i zajrzał do środka.

— O, kurwa! — jęknął sam do siebie, kiedy spostrzegł, że puchar jest pusty.

Był w totalnym szoku. Nie mógł uwierzyć w to, co się właśnie stało. Przez jego nieprzemyślane decyzje, ktoś zwędził pierścień Gryffindora. Przecież to totalna porażka! Jak spojrzę teraz w oczy Dorianowi Conelly'emu?!, pomyślał. W końcu dyrektor obdarzył go zaufaniem. Liczył na niego. A teraz Harry miał go tak okrutnie rozczarować.

Zniknięcie pierścienia tak bardzo go oszołomiło, że przez całą noc nie zmrużył oka. Ginny widziała, że dzieje się z nim coś złego. Była przejęta, ale nie drażyła tematu. Zresztą Harry i tak by jej nic nie powiedział. Wstydził się tego, co zaszło. Odczuwał potworne wyrzuty sumienia. Nie był w stanie wyobrazić sobie momentu, w którym dyrektor dowie się, że pierścień przepadł. Na razie postanowił nikomu o tym nie mówić. Nikomu poza Hermioną, oczywiście.

— Spokojnie, Harry. Nie panikuj — uspokoiła go, kiedy z desperacją w głosie opowiedział jej o wszystkim następnego dnia, w porze lunchu. — Jeszcze nie wszystko stracone.

— Jak to? — zdumiał się Harry.

— Jestem pewna, że osoba, która zwędziła pierścień, była wczoraj z nami w Izbie Pamięci — wyjaśniła mu Hermiona. — Te dodatkowe zabezpieczenia z pewnością wzbudziły jej podejrzenia. Wystarczyło zajrzeć do pucharu, żeby odkryć, jak cenną rzecz kryje.

Harry westchnął ciężko.

— Było nas tam całkiem sporo — stwierdził bez entuzjazmu.

— Ale tylko Nagrod doszukiwał się w tym wszystkim drugiego dna — zauważyła Hermiona. — To on dopytywał dlaczego gabloty są chronione zaklęciami. I nie dowierzał kłamstwom dyrektora. Mógł przecież wrócić do Izby Pamięci i zwędzić pierścień.

Harry nagle coś sobie uświadomił. Momentalnie rozpalilo to nadzieję i zapal w jego sercu.

— Nagrod mówił, że pierścień wykuł Ragnuk, król goblinów — przypomniat podekscytowany. — Zrobił to na zlecenie Godryka. Dopóki Gryffindor żył, pierścień należał do niego. Gobliny uważają jednak, że po śmierci zleceniodawcy rzeczy przez nich wykute ponownie stają się ich własnością!

— Pamiętam. Z tego powodu przed laty Gryfek chciał odzyskać miecz Gryffindora — odpowiedziała Hermiona, a Harry jej przytaknął. — Wystarczy więc pomyszkować w gabinecie goblina i przekonać się, gdzie ukrył pierścień.

— To nie będzie takie proste. Musielibyśmy mieć pewność, że Nagrod nas nie nakryje. A ja przecież nie mam już mapy Hunctotów — przypomniat jej ze smutkiem Harry.

Hermiona uśmiechnęła się nieznacznie.

— Ale wciąż masz pelerynę-niewidkę — odpowiedziała wesoło, puszczając do niego oko.

Harry poczuł wyraźną ulgę. Przekonał się, że faktycznie jest jeszcze nadzieja. Być może uda im się odzyskać utracony pierścień, zanim dyrektor o czymkolwiek się dowie. Zwłaszcza, że Hermiona miała dość sensowny plan.

— W Noc Duchów wszyscy nauczyciele będą na ucztie w Wielkiej Sali. Ty będziesz miał oko na Nagroda. Ja w tym czasie skryję się pod peleryną twojego taty i dokładnie przeszukam jego gabinet — zaproponowała, a Harry z entuzjazmem na to przystał.